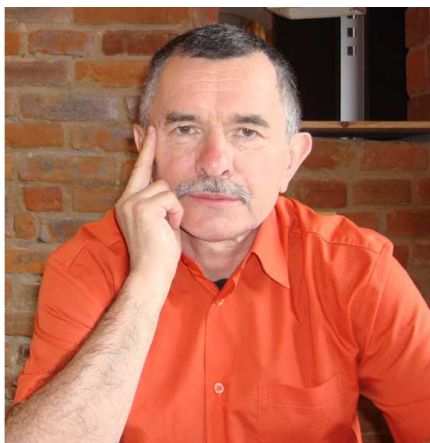


JÓZEF BARAN

Przystanek Marzenie (66)

(fragmenty)



Skoro trafia w dziesiątkę, nie potrzebuje już się poprawiać, żeby sobie nie zepsuć efektu.

Gdy poeta trafia na tarczy tylko w piątki, w czwórki, w siódemki itd., to jakby poprawia celność strzału. W tym sensie wielosłowie wydaje mi się w poezji – która ma różnić się przecież od prozy skrótością wypowiedzi – jakimś rodzajem partactwa.

Prostota ma też coś wspólnego z przedzieraniem się przez zarośla sensów i wycinaniem przez autora w pocie czoła sekatorom pobocznych skojarzeń, żeby czytelnik mógł iść do celu prostą, wygodną ścieżką.

Dlaczego, do cholery, mam się tłumaczyć z tego, że jestem zrozumiały dla innych!? Właśnie, dlaczego?

Jedni są poetami z wyboru.

Drudzy są poetami, bo muszą nimi być, bo nie mają innego wyboru.

Jadźka Malina

Radość czytania Zygmunta Haupta!

Radość odkrywania, że istniał sobie gdzieś wielki polski pisarz, o którym mało kto wiedział.

Radość smakowania każdego zdania, każdej strony o ogromnym ładunku poezji, filozofii i rzeczowości, precyzji i rozmachu, humoru i liryzmu, nostalgii i ostrowidztwa.

Radość stwierdzenia, że mamy pisarza-czarodzieja, pisarza-maga tak jak Rosjanie mają Czechowa i Turgieniewa, tak jak Niemcy mają Hessego, tak jak Anglicy mają Dickensa...

Jak to się stało, że przez tyle lat nie istniał dla mnie? Nie miałem pojęcia, że obok Schulza, Gombrowicza zdarzył nam się jak ślepej kurze ziarno (a my nawet tego nie zauważyliśmy) jeszcze jeden prozaik wielkiego formatu, który dopiero teraz, w 35 lat po śmierci, zaczął żyć w swojej ojczyźnie, bo właśnie ukazały się jego opowiadania zebrane w ogromnej, prawie siedmusetstronicowej księdze *Diabeł baskijski*, opublikowanej w wydawnictwie „Czytelnik”.

Zawstydzenie, zażenowanie, że się jest tak „prostym” pisarzem naprzeciw tego bogacza słownictwa, wyrafinowanego piewcy przyrody i drgnień ludzkiej duszy...

Jakie to smutne, że mistrz ekwilibrysty słownej podlega tym samym prawom naturalnego ciężenia co wszyscy. Starzeje się, boli go noga, boli lewe ramię, jak wielkiego starego poetę Tadeusza Różewicza, który na wstępie naprędce zaimprovizowanego w Wydawnictwie Literackim w Krakowie spotkania autorskiego, uraczył publiczność tymi właśnie informacjami. Powiedział też, że biometr w ostatnich dniach jest niekorzystny, co szczególnie odczuwają starzy ludzie, choć młodzi też, nawet o tym nie wiedząc. „Ja przed spotkaniem z Wami czułem się jak trener reprezentacji polskiej Beenhaker po przegranym spotkaniu, ale teraz, gdy zobaczyłem tylu młodych – to się ciut-ciut ożywiłem”.

Zapytany przez poetę Krzysztofa Lisowskiego, prowadzącego ten wieczór, co jest powodem jego przyjazdu do Krakowa, błysnął kapitalnym paradoksem, że nie wszystko musi mieć swój powód. Wiele rzeczy w życiu, łącznie z własnym narodzeniem, robi się bez powodu, a powód znajdzie się później.

Czytał – na przemian z aktorem Tadeuszem Malakiem – kilkanaście wierszy; wszystkie o starości, o śmierci, o tym, że człowiek jest kłębkim sprzeczności, workiem nieczystości, a nasze duszyczki są coraz mniejsze i mniejsze albo w ogóle zanikają.

Stary wielki poeta nie potrafił, ba, ostentacyjnie nie chciał się wznieść w swoich wierszach ponad ograniczenia starego ciała. Nie wyciągał duszy z Bogiem i niebem ze swego poetyckiego kapelusza, nie lewitował, nie czynił cudów, nie wmawiał nam, że ma objawienia i wizje, zdecydowanie ucał próbę wciągnięcia go w filologiczne wymądrzania, co mi się bardzo podobało.

Niestety po jakichś czterdziestu minutach zwiądl, zestarzał się na naszych oczach, uszło z niego powietrze i powiedział, że musi przerwać spotkanie, żeby zarezerwować jeszcze siły na podpisywanie książek.

Stary wielki poeta był zresztą zawsze stary, nawet wtedy, kiedy był młody, a co dopiero teraz, kiedy naprawdę jest stary. Napisał – i to jest paradoks Różewicza – setki wierszy o niemożności i bezsensie pisania wierszy – po II wojnie i Holokauście, które skompromitowały ludzkość i tzw. wielką sztukę („A czy można było po tym zjeść obiad?” – pytał go ironicznie inny wielki poeta Miłosz). Ale napisał też wiele wierszy o bezsensie pisania wierszy – w czasach małej socjalistycznej stabilizacji i w dobie współczesnego kiczu i konsumeryzmu.

Właściwie wciąż pisze o bezsensie pisania wierszy, jako o zajęciu anachronicznym i podejrzanym.

Dlaczego więc napisał ich parę tysięcy?

Sprowadzał w nich natchnienie z obłoków na ziemię, rozwiewał złudzenia i nadzieje.

Także swoje.

Teraz siedzi stary bezradny wielki poeta z rozwanymi nadziejami i złudzeniami, poeta, co sam siebie rozebrał ze skrzydeł. Poeta, który heroicznym dążeniu do prawdy miał odwagę spojrzeć trzeźwo rzeczywistości prosto w oczy, oczyścić ją z ozdóbek i z całego tego „maroka dekoracyjnego”...

I co? I co mu zostało?

Właśnie! Co mu zostało, gdy siedzi przywiązany do Ziemi i widać jak prześwieca przez niego NICOŚĆ. Ta nicość, która wzbierała w nim od początku, od pierwszego oddechu, hodowana od pierwszego wiersza. Ta nicość, która – o ironio i na jego nieszczęście tak pięknie dojrzała i uklaszczyła się w nim na starość.

Choć, czyja wiem? Może gdyby wsłuchać się i

wpatrzeć w jego wiersze powstałe w ostatniej dekadzie, to przy odrobinie dobrej woli, można by dopatrzeć się jakichś nieznanych wcześniej wątpliwości, rozterek w rodzaju: „bez Boga można żyć, bez Boga nie da się żyć”; jakichś przesłów metafizycznych w tej jego Czarnej Dziurze Nicości; dzięki czemu wiersze starego wielkiego poety stają się teraz wzruszająco, bo po ludzku bezradne?

Nie, nie będę udawał, że nie mam mieszanych uczuć, gdy myślę o tym starym wielkim poecie, którego właśnie dziś po raz pierwszy i pewnie ostatni zobaczyłem na żywo.

Bo ja, przynajmniej, że nie mam odwagi, a na pewno nie chcę patrzeć rzeczywistości prosto w oczy, tak jak on, gdyż w odróżnieniu od niego, zawsze szukałem w poezji, jak i w religii leku pocieszenia.

Poezja Różewicza powstawała najczęściej z braku.

Moja? – najczęściej, gdy przepelniał mnie i rozpiekał nadmiar, wtedy niczym Świrszczyńska znośiłem „jajko wiersza”.

Cóż na to poradzę? Poezja jest dla mnie odlewem brany z duszy; zaczyna się dopiero od momentu zaprzeczenia oczywistości, że wszyscy umrzemy. Bez zanurzenia w marzeniu wydaje się kaleka.

10 grudnia 2005 zanotowałem i powtórzę to dziś:

„W niedzielę na sumie w borzęckim kościele rozmyślałem o naszym nieporadnie kleconym marzeniu o Wieczności. Tym marzeniem wypełniony jest kościół jak balon powietrzem. To marzenie prześwieca ciepło przez tęczowe okienka witraży. To marzenie jest w strzelistych modlitwach, psalmach, w dziełach Rembrandta. Ono opromienia kiczowate malowanki pokrywające sufit kościoła i nieporadne figurki przydrożnych Chrystusików. Jeśli jest to nawet nadaktywność bujnej wyobraźni, jeśli jest to tylko poezja, kolorowa bajka, to przecież piękna poezja, piękna bajka! Dlaczego nie miałyby nas podtrzymywać na duchu, ogrzewać, świecić w tunelu, gdy nie mamy pod ręką żadnej innej czarodziejskiej lampy Aladyna, my – pracujący w ciemnych kamieniołomach, my – parobkowie tej Ziemi?”...

często te same małe marzenia
które w oczach jednych uchodzą
za dmuchawcowe głupstwa
są dla innych ostatnimi
spadochronami ratunku

*

kropłówkami nadziei
przedłużającymi blask w sercu
o godzinę miesiąc życie
a nawet wieczność
one tak lekkie
sobie ważą
śmierci
ziemskie przyciąganie

*

ratuj się kto może
złifowaniem marzeń
by bez nich do końca
nie zdumnieć nie zszarzać
nie pokryć się śniegiem
jednakowiejących zdarzeń

KONIEC